

Przygoda wstępna

*Pędź na lotnym okręcie przez morza obszary,
Zwiedzaj wyspy, półwyspy, lądy i przylądki,
I najdalsze zatoki, najskrytsze zakątki,
Zwalczaj wszelkie przeszkody i wszelkie zawady!
Sindbad Żeglarz*

”

Cud nieznany w nieznaney podróży cię czeka. Nazywam się Sindbad. Mieszkam stale w Bagdadzie¹. Rodzice moi, umierając, zostawili mi w spadku tysiąc worów złota, tysiąc beczek srebra, sto pałaców, sto ogrodów i jeden trzonowy ząb mego pradziadka, który ojciec mój przechowywał w hebanowej² szkatułce, jako pamiątkę i osobliwość. Pradziadek mój przez całe życie chorował na ból zębów i co pewien czas inny ząb musiał wyrwać, tak że w końcu jeden mu tylko ząb trzonowy pozostał. Umierając, kazał sobie wyrwać i ten ostatni ząb trzonowy, który przeszedł w spadku od mego dziada do mego ojca, a od ojca – do mnie. Był to zwyczajny, zepsuty i szerniały ząb. Jestem pewien, że na świecie znaleźć można bardzo wiele tak samo zepsutych i szerniałych zębów, lecz nie każdy z nich trafia do hebanowej szkatułki, aby stanowić pamiątkę i osobliwość. Ten – trafił. Nieraz,

¹ Bagdad – dziś: stolica Iraku.

² heban – rodzaj czarnego lub ciemno zabarwionego, cennego drewna.

przyglądając mu się z ciekawością i szacunkiem, wyobrażałem sobie, jak ten ząb bolał niegdyś mego pradziada!

Po śmierci rodziców, zamieszkałem w pałacu wraz z jedynym moim wujem Tarabukiem. Wuj Tarabuk był poetą. Co dzień niemal układał wiersze i odczytywał je potem tak głośno, że dostawał bólu gardła i musiał je starannie przepłukiwać lekarstwem, które pilnie ukrywał przed okiem ludzkim, zachowując ścisłą tajemnicę. Twierdził przy tym, że gardło go wcale nie boli i że nie ma przecież potrzeby płukania gardła lekarstwem.

Wuj Tarabuk kochał poezję, lecz nienawidził gramatyki. Pisał z błędami i zazwyczaj na jedno słowo dwa do trzech błędów popełniał. Wstydził się wszakże swej błędnej pisowni i twierdził, że popełnia błędy umyślnie, ażeby potem mieć sposobność i przyjemność poprawiania swych utworów. Nie zauważyłem jednak, ażeby wuj Tarabuk raz napisany wiersz kiedykolwiek poprawiał.

Wuj Tarabuk miał stolik składany, srebrny kałamarz i złote pióro. Z tymi przyborami chodził na brzeg morza, siadał nad brzegiem i, wsłuchany w szumy morskie, pisał swe wiersze.

Pewnego razu o poranku poszedł na brzeg morza. Ustawił stolik składany, umoczył złote pióro w srebrnym kałamarzu i zaczął pisać jakiś wiersz na różowym papierze.

Pisał i pisał, skrobał i skrobał, pocił się i pocił, sapał i sapał, aż wreszcie, po nieludzkich trudach i mękach, ułożył wiersz następujący:

Morze – to nie rzeka, a ptak to – nie krowa!
Szczęśliwy, kto kocha rymowane słowa!
Rymuj mi się, rymuj, drogi mój wierszyku!
Stój w miejscu cierpliwie, składany stoliku!
Stoi stolik, stoi, zachwiewa się nieco,
Za stolikiem – morze, za morzem – Bóg wie co!

Napisawszy ten wiersz, wuj Tarabuk odczytał go głośno i zawołał:

– Piękny wiersz! Jaki prawdziwy początek! Morze to nie rzeka, a ptak to – nie krowa. Któż zaprzeczy prawdzie tych słów! I jaki trafny koniec! Za stolikiem – morze, za morzem – Bóg wie co. Rzeczywiście, za morzem widać mgłę, a w tej mgłę dal nieznaną. Jeden Bóg wie, co się w tej dali kryje? Dlatego też napisałem: za morzem – Bóg wie co.

Wuj Tarabuk zatarł ręce z zadowolenia i wyciągnął z kieszeni butelkę z tajemniczym lekarstwem, ażeby przepłukać gardło, nadwerężone głośnym odczytaniem świeżo napisanego wiersza. Trudno uwierzyć, ile błędów gramatycznych zdążył popełnić wuj Tarabuk w tak krótkim wierszyku! Zamiast „rzeka”, pisał „żega”, zamiast „ptak”, pisał „bdag”. Nie chcę wszystkich błędów wyliczać, aby nie ośmieszać swego wuja, którego kocham i poważam. Zresztą sam wuj Tarabuk czuł, że pisze błędnie. A chociaż nie mógł swych własnych błędów zauważyć, wszakże, powtórnie wiersz przeglądając, zaczął każde słowo o błąd podejrzewać. Szereg tych nieustannych podejrzeń tak go zmęczył, że wreszcie, poprawiwszy „bdaga” na „bdacha”, zasnął snem nagłym, smacznym i pokrzepiającym. Spał, kiwając się bezwolnie nad składanym stolikiem i co chwila pochrapując, bo wuj Tarabuk chrapać lubił i umiał.

Chmury zgromadziły się na niebie, morze rozbłysło srebrnymi wstęgami rozszumiałych pian, zerwała się burza.

Wuj Tarabuk spał.

Wicher uderzył w stolik składany, porwał srebrny kałamarz i złote pióro i wrzucił je do morza.

Wuj Tarabuk spał.

Utonęło złote pióro i srebrny kałamarz. Po raz pierwszy obydwa te przedmioty znalazły się na dnie morskim wśród dziwacznych ryb i stworów. Wicher powtórnie uderzył w stolik składany i zwał wszystkie papiery do morza. Były to – niestety! – wszystkie wiersze wuja Tarabuka, które napisał od lat dzieciennych aż do chwili ostatniej. Wiersze zakołysały się na wzburzonych falach i zaczęły moknąć. Mokły, mokły, aż przemokły i, ociążałe od wypitej wody, poszły na dno w ślad za kałamarzem i piórem.

Morze, poczuwszy w swej głębi rymowane utwory wuja Tarabuka, wzburzyło się jeszcze bardziej, zaszumiało, zaryczało tak mocno, że wuj się nareszcie zbudził.

Zbudził się i spojrzał na stolik. Nie ujrawszy na stoliku swych skarbów, zaczął płakać i wrzeszczeć, i wrywać włosy z głowy.

Płacząc, wrzeszcząc, wyjąc, skomląc i wrywając pęki bujnych włosów, pobiegł z powrotem do domu, pochwycił wędkę największą, wró-

cił z nią na brzeg morza i zarzucił wędkę do wody. Myślał wuj Tarabuk, iż mu się uda wędką rękopisy swoje z głębiny morskiej powyławiać.

Odtąd wuj Tarabuk co dzień z wędką nad morze chodził, lecz nadermnie! Nigdy bowiem nie udało mu się ani jednego rękopisu wyłowić!

Tymczasem wszystkie rękopisy wuja leżały na dnie. Zauważyła je pewna ryba, zwana Diabłem Morskim. Jest to ryba z pękatym brzuchem, olbrzymią paszczą i strasznymi oczyma. Ma wszakże tę zaletę, iż jest uczona. Umie czytać i pisać. Otóż Diabeł Morski, ujrzawszy rękopisy, zbliżył się do nich i zaczął uważnie odczytywać. Po odczytaniu kilku rękopisów, machnął gniewnie ogonem i zawołał:

– Nigdy jeszcze nie czytałem tak głupich, brzydkich i niezdolnych wierszy. Na domiar złego, w każdym słowie dwa do trzech błędów się ukrywa. Domyślam się, że autorem tych wierszy jest wuj Tarabuk, który co dzień nad brzegiem morza wysiaduje przy składanym stoliku i suszy głowę nad rymami. Dobrze się stało, że wichur zwiął mu ze stolika te rękopisy wraz ze srebrnym kałamarzem i złotym piórem! Może przestanie wreszcie tworzyć te obrzydliwe wiersze! Ma on bardzo miłego siostrzeńca Sindbada i mieszka z nim razem w pałacu. Biedny to siostrzeniec, który z takim wujem mieszkać musi pod jednym dachem! Skorzystam z tego srebrnego kałamarza i złotego pióra, aby napisać list do Sindbada. Poproszę mojej dobrej znajomej Ryby Latającej³, żeby ten list Sindbadowi wręczyła.

Diabeł Morski zabrał się natychmiast do pisania listu. Wybrał rękopis, którego jedna tylko strona była zapisana, a druga pusta i zaczął szybko złotym piórem pisać na pustej stronie.

Wiem o tym wszystkim, co się działo na dnie morza, gdyż pewnej nocy otrzymałem list od Diabła Morskiego i z treści tego listu domyśliłem się, że działo się właśnie tak, a nie inaczej.

Siedziałem w oknie otwartym i patrzyłem przez okno w niebiosy, na których płonęła pełnia księżycowa. Nagle usłyszałem w powie-

³ *ryba latająca* — morska ryba należąca do rodziny ryb belonokształtnych, występująca w Oceanie Indyjskim, Oceanie Atlantyckim i Spokojnym; swoją nazwę potoczną zawdzięcza temu, że dzięki charakterystycznym, przypominającym skrzydła, płetwom piersiowym potrafi wzbicić się ponad powierzchnię wody.

trzu dziwny, suchy, ostry szum skrzydeł. Był to szum osobliwy, do żadnych szumów niepodobny. Żaden ptak nie szumi tak skrzydłami.

Wysunąłem głowę przez okno i zacząłem uważniej wpatrywać się w księżycową jasność pogodnej nocy. Po chwili ujrzałem w powietrzu Rybę Latającą.

Jej skrzydła, podobne do ogromnych płetw, srebrzyły się w księżycu. Poruszała nimi powoli i z trudem. Nie była snadź⁴ przyzwyczajona do lotu nad ziemią i raził ją zapewne brak wody morskiej w powietrzu.

Leciała jednak wytrwale, mieniać się w świetle księżycy łuską tęczową. Widziałem, jak szybko porusza zmęczonym pyskiem, chwytając dech, utrudniony brakiem wody. W pysku trzymała kawał różowego papieru. Leciała wprost ku mnie.

Zbliżywszy się do okna, podała mi papier różowy. Zaledwo ten papier wyjąłem jej z pyska, ryba natychmiast umknęła z powrotem i wkrótce znikła mi z oczu.

Spojrzałem na papier. Na jednej jego stronie świetniał kaligraficznie i starannie, lecz z okropnymi błędami napisany wiersz wuja Tarabuka. Poznałem od razu charakter jego pisma i, nie chcąc odczytywać nudnego i głupiego wiersza, odwróciłem arkusz papieru i spojrzałem na drugą jego stronę. Na drugiej stronie, u góry, olbrzymimi literami czernił się napis...

4

śnadź (daw.) – wszak, wszakże, przecież.

Wielmożny Sindbad w Bagdadzie

*Obydwaj pożeramy chętnie, co się zdarza,
Z tą różnicą, że nie mam, tak jak ty, kucharza.
Ja wolę ryby z morza, ty – ryby z patelni,
Lecz obydwaj jesteście w pożeraniu – dzielni.
Sindbad Żeglarz*

”

Niżej, pod tym napisem, znajdował się list do mnie, treści następującej:

Piszę z morza do Ciebie, kochany Sindbadzie!
Choć się burza zerwała i fala się kładzie
Na mój grzbiet i przerywa mój spokój i ciszę,
Ja – mimo burz i wichrów – list do ciebie piszę.
Nazywają mnie ludzie Diabłem Morskim, ale,
Choć jestem morskim, diabłem nie czuję się wcale.
Przeciwnie – jestem dobry, tkliwy, choć rubaszny,
Bo mam brzuch zbyt pękaty i pysk bardzo straszny.
Nie sądź mnie po pozorach ani po wyglądzie,
Ja zjadam ryby w morzu, ty zjadasz – na lądzie,
Ja połykam je żywcem, ty – po usmażeniu.
Obydwaj dogadzamy swemu podniebieniu,
Obydwaj pożeramy chętnie, co się zdarza,
Z tą różnicą, że nie mam, tak jak ty, kucharza.
Ja wolę ryby z morza, ty – ryby z patelni,
Lecz obydwaj jesteście w pożeraniu – dzielni.
Mimo to nikt cię diabłem dotąd nie przeżywa,

A mnie w dziale przypadła ta nazwa straszliwa!
Ani burza najsrozsza, ani złe wichrzysko
Nie męczy mię, nie boli tak, jak to przezwisko!
Trudno! Muszę je nosić, choćby z tej przyczyny,
By nie zostać bez nazwy wśród morskiej głębiny!
Przysięgam ci, że diabłem nie jestem i wołę
Pływać w morzu niż w ogniu piekielnym lub smole,
Ufam, że ci wystarczy ta moja przysięga.
Piszę ten list z powodu, iż wicher-włóczęga,
Który na brzegu przygód byle jakich szuka,
Zwiał do morza papiery wuja Tarabuka,
Słynny srebrny kałamarz, tudzież złote pióro.
Płynąłem właśnie, gnany falą i wichurą,
I pod wodą papiery widząc niespodzianie,
Zacząłem chciwie czytać, bo lubię czytanie,
A nawet wołę wiersze od zwyczajnej prozy.
Przeczytałem – i dotąd od gniewu i zgrozy
Trzęsę się, bo, doprawdy, w życiu po raz pierwszy
Przeczytałem tak dużo tak okropnych wierszy!
Co za rymy bez sensu wuj Tarabuk przedzie!
Głupstwo siedzi na głupstwie, błąd siedzi na błędzie,
Osioł pisałby lepiej, a noga stołowa
Więcej ma w sobie sensu, niżli jego głowa!
Sindbadzie! Jakże możesz żyć pod jednym dachem,
Z takim głupcem nieznośnym i z takim postrachem?
Jak możesz spać spokojnie w tym samym budynku,
Gdzie Tarabuk swe rymy tworzy bez spoczynku?
Opuść prędzej swój pałac i pożegnaj wuja,
Czyż nie nęci cię okręt, co po morzu buja?
Czyż nie wabi cię podróż dziwna i daleka?
Cud nieznan w nieznaney podróży cię czeka.
Czeka cię bajka senna w zakłętej krainie,
I Królewna stęskniona, co z urody słynie,
I skarby i przepychy i dziwy i czary!
Pędź na lotnym okręcie przez morza obszary,
Zwiedzaj wyspy, półwyspy, lądy i przylądki,
I najdalsze zatoki, najskrytsze zakątki,
Zwalczaj wszelkie przeszkody i wszelkie zawady!
Pędź, leć, płyn bez ustanku! Posłuchaj mej rady!
Tego ci życzy, ukłon przesyłając dworski,
Kochający cię szczerze – twój druh.

Diabeł Morski

*Czeka cię bajka senna w zaklętej krainie,
I Królewna stęskniona, co z urody słynie,
I skarby i przepychy i dziwy i czary!
Pędź na lotnym okręcie przez morza obszary,
Zwiedzaj wyspy, półwyspy, lądy i przylądki,
I najdalsze zatoki, najskrytsze zakątki.
Sindbad Żeglarz*

”

Przeczytałem ten list jednym tchem i wyznam, że nigdy nie przypuszczałem, ażeby Diabeł Morski pisał tak składnie i poprawnie. List ten wywarł na mnie wielkie wrażenie. Rady Diabła Morskiego wydały mi się i słuszne i ponętne. Od dawna mi się znudził i mój pałac, i wuj Tarabuk, i wiersze wuja Tarabuka. Od dawna pragnąłem zaznać przygód i niebezpieczeństw. Prócz tego list Diabła Morskiego, czytany w świetle księżycy, oczarował mnie przenikliwym, nieodpartym czarom. Każde słowo, pisane czarnym atramentem na różowym papierze, dziwnie migotało w blasku księżycowym i tak mnie upajało, że poczułem w końcu zawrót głowy. Każda litera wydzielala ponętny zapach morskiej trawy. Zapach ten przenikał do mej duszy i budził w niej żądze podróży morskiej. Bez wątpienia list ten był zaklęty, a treść jego, mimo dobroduszných pozorów – była naprawdę diabelska. Przebiegły Diabeł Morski w wyrazach łagodnych i tkliwych namawiał mnie do opuszczenia rodzinnego domu i jedyne go wuja. Poddałem się jednak czarom tej namowy. Byłem tak zachwycony listem, adresowanym na moje imię z tajemniczych głębin morza, że byłbym natychmiast

odpisał Diabłu Morskiemu, gdyby Ryba Latająca zaczekała na moją odpowiedź.

Lecz Ryby Latającej od dawna już nie było. Nie czekając na odpowiedź, uciekła z powrotem do morza.

Całą noc przesiedziałem przy oknie, w głębokiej zadumie.

Nad ranem wyczekałem chwili, gdy wuj Tarabuk z wędką w ręku wychodził właśnie z pokoju, aby swoim zwyczajem udać się nad morze dla wylowienia zgubionych rękopisów.

Był błądy i smutny. Strata ukochanych rękopisów rujnująco wpłynęła na jego zdrowie. Postarzał się o lat sto z górą, chociaż miał dopiero lat pięćdziesiąt. Stał się małomówny i nie kończył słów, które zaczynał. I teraz spojrzał na mnie smutnie i rzekł:

– Dzień do...

Miało to znaczyć: „dzień dobry”. Zmartwienie i żal głęboki nie pozwalały mu słów domawiać. Przyzwyczailem się do tych niecałkowicie zakończonych wyrazów i po pierwszej niemal sylabie zgadywałem ich przemilczaną resztę.

– Dzień dobry – odrzekłem – jakże się spało tej nocy wujowi?

– Jak naj... – odpowiedział wuj Tarabuk.

Miało to znaczyć: „jak najgorzej”, wuj bowiem po stracie rękopisów cierpiał na bezsensowność.

– Muszę się z wujem pożegnać! – rzekłem głosem stanowczym. – Dziś w nocy postanowiłem wyruszyć w podróż daleką. Czy wuj ma coś przeciwko temu?

– Nie – odpowiedział wuj.

„Nie” – było jednym z tych słów, które wuj wymawiał całkowicie. Po stracie rękopisów, wuj Tarabuk stał się tak obojętny na wszelkie sprawy, że nie wzruszyła go wcale wiadomość o mojej podróży.

Rzuciłem mu się na szyję i zacząłem go ścisnąć i całować.

– Wuju! – zawołałem. – Żegnam cię na długo i życzę, abyś powyłał z morza wszystkie swoje rękopisy!

Wuj Tarabuk ucałował mnie w czoło i rzekł głosem złamanym:

– Weso...

Miało to znaczyć: „wesołej podróży!”

Po czym wuj Tarabuk wyszedł, a po chwili zobaczyłem przez okno, jak kroczył w stronę morza, potrząsając wędą⁵.

Tegoż dnia wyjechałem konno z Bagdadu do Balsory, Balsora bowiem jest miastem portowym i okręty z portu balsorskiego odpływają we wszystkie strony świata.

W Balsorze wsiadłem na okręt, który płynął w kraje dalekie i nieznane. Stałem na pokładzie okrętu i patrzyłem, jak ląd się ode mnie oddala i jak powoli znika mi z oczu. Wiał wiatr przychylny. Wzdęte żagle połyskiwały na słońcu. Morze błękitniało i zieleniało. Mewy z krzykiem unosiły się nad żaglami, wlatywały nad powierzchnią wody i muskały tę powierzchnię białymi skrzydłami.

Gdy ląd zniknął mi z oczu, uczułem wokół bezmiar i nieskończoność. Nade mną – niebo, pode mną – morze, przede mną – dal nieznana i niezbadana.

Wyjąłem z kieszeni list Diabła Morskiego, aby ten list czarownicy raz jeszcze odczytać. Czytałem go, upajając się każdym słowem, i tak przy tym wymachiwałem rękami, że kapitan okrętu zbliżył się do mnie i zapytał:

– Co czytasz, mój przyjacielu, że tak dziwnie przy tym wymachujesz rękami?

– List Diabła Morskiego – odrzekłem ze szczerością i prostotą.

– Co? – spytał znowu zdziwiony kapitan. – Zdaje mi się, że nie dosłyszałem twojej odpowiedzi?

– List Diabła Morskiego – powtórzyłem głośniejszym głosem z jeszcze większą szczerością i z jeszcze większą prostotą.

⁵ węda – lina zakończona hakiem służąca do połowów na głębokich wodach; dziś raczej wyłącznie: wędka.

Przygoda pierwsza

*Ani burza najsroźsza, ani złe wichrzysko
Nie męczy mię, nie boli tak, jak to przezwisko!
Trudno! Muszę je nosić, choćby z tej przyczyny,
By nie zostać bez nazwy wśród morskiej głębiny!
Przysięgam ci, że diabłem nie jestem i wolę
Pływać w morzu niż w ogniu piekielnym lub smole.
Sindbad Żeglarz*

”

Kapitan, usłyszawszy moją odpowiedź, rzekł, przyglądając mi się uważnie:

– Mówili mi nieraz moi marynarze, że Diabły Morskie umieją czytać i pisać. Nie wierzyłem dotychczas tym opowiadaniom. Teraz jednak przekonuję się naocznie, iż twierdzenia moich marynarzy były prawdziwe. Byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś mi pozwolił ten list przeczytać, o ile, ma się rozumieć, nie zawiera on jakichś tajemnic osobistych.

– Chętnie zaspokoję twą ciekawość, kapitanie – odrzekłem, podając mu list – list ten przyniosła mi w pysku Ryba Latająca, gdy siedziałem przy otwartym oknie mojego pałacu.

Kapitan przeczytał list i zawołał jednego z najstarszych marynarzy.

– Mam w ręku list Diabła Morskiego – rzekł do marynarza. – Ponieważ jesteś doświadczony, więc powiedz, czy obecność takiego listu na okręcie przynosi szczęście czy też nieszczęście?

– Nieszczęście – odparł stary marynarz głosem poważnym i ponurym.

– Cóż wtedy mam uczynić z tym listem? – spytał kapitan.

– Wrzuć co prędzej do morza! – powiedział marynarz.

– Sindbadzie! – zawołał kapitan. – Musisz się zgodzić na to, że cię pozbawię tego listu.

– Zgadzam się na to, kapitanie! – odrzekłem natychmiast. – Miałbym przez całe życie wyrzuty sumienia, gdybym był nieświadomym sprawcą czyjegokolwiek nieszczęścia.

Kapitan wrzucił list do morza. List, zamiast płynąć po wodzie, zaczął się kurczyć, prężyć, przeskakiwać z fali na fale, aż wreszcie sam się złożył w dwoje, potem w troje, potem w czworo i nagle zaszumiał, zaszeleścił, zamienił się w pianę morską i rozplynął się w nic na powierzchni fali.

Marynarz spojrział spode łba na mnie i rzekł ponuro:

– Gdybyś ten list zachował przy sobie, zginąłbyś po kilku godzinach podróży wraz z całą załogą. Teraz, po wrzuceniu listu do morza, czekają cię przygody, nieszczęścia, niespodziane przypadki i nieprzewidziane niebezpieczeństwa. Bardzo mi się nie podoba, że otrzymujesz listy od Diabła Morskiego, ale przypuszczam, że jesteś niedoświadczony i nie znasz się na Diabłach Morskich, ani na ich listach.

Nic nie odpowiedziałem marynarzowi, jeno⁶ spojrzałem na kapitana, czekając, co powie. Czuję bowiem, że marynarz spogląda na mnie podejrzliwie i posądza mnie o jakieś tajemnicze konszachty z Diabłem Morskim. Kapitan też to spostrzegł i rzekł do marynarza:

– Nie patrz tak podejrzliwie na tego młodzieńca, gdyż ręczę ci za jego niewinność. Gdyby miał jakieś złe zamiary, ukrywałyby przed nami list Diabła Morskiego; tymczasem wyznał mi sam z zupełną szczerością i prostotą, że czyta list Diabła Morskiego i powtórzył to wyznanie dwa razy z rzędu.

Uspokojony słowami kapitana, marynarz się oddalił, lecz całej załodze opowiedział natychmiast o tym, co się stało. Toteż wszyscy, prócz kapitana, zaczęli się boczyć na mnie i unikać mego towarzystwa.

Z nikim nie mogłem się zaprzyjaźnić, ani nawet przelotnej rozmowy nawiązać. Nawet obiad spożyłem osobno, nie zaś przy stole ogólnym, ponieważ załoga zażądała zupełnego usunięcia mej osoby

⁶ jeno (daw.) – lecz.

od zebrań wspólnych. Słyszałem tylko gwar i śmiechy przy stole, lecz nie miałem prawa zasiąść do tego stołu.

Kapitan wytłumaczył mi, iż musiał ustąpić żądaniu załogi, aby nie drażnić marynarzy.

Samotny więc stałem w kącie pokładu i patrzyłem na morze, które wzbierało szafirową falą, spienioną na grzbiecie. Fala była wysoka, lecz obszerna. Okręt kołysał się na niej powoli, to wbiegając na jej grzbiet sprężony, to zsuwając się z tego grzbietu w dół, aby się znów na następną falę przedostać.

Słońce świeciło, skrząc się i płonąc na nierównościach i zagięciach fal. Pogoda była cudowna. Wiatr, który wzdymał nasze żagle, ustawał. Nadchodziła powoli, nieznana mi dotąd, nieruchoma, drętwą Cisza Morska. Fale się co chwila zmniejszały, powierzchnia morza wyglądała się coraz bardziej.

Stałem wciąż na pokładzie i upajałem się pogodą.

Nagle posłyszałem niespokojny ruch całej załogi.

Obejrzałem się za siebie.

Tłum marynarzy roił się na pokładzie, mrużąc i ponuro spoglądając w czyste, pogodne niebiosy. Znać było po nich trwogę i niepokój. Nie mogłem zrozumieć, skąd ta trwoga i ten niepokój? Wszakże niebo było czyste – bez chmury, bez skazy. Pogoda utrwaliła się na długo. Żadna burza nie groziła naszemu okrętowi.

Upajałem się słońcem i ciszą, ze zdziwieniem patrząc na zatrwożonych widokiem pogodnego nieba marynarzy. Kapitan stał pośród nich i z taką samą trwogą przyglądając się niebiosom, coś mówił czy też wydawał jakieś rozkazy.

Stałem na końcu pokładu i nie mogłem dosłyszeć głosu kapitana. Zaciekawiony jednak ogólnym zgiełkiem i niepokojem, zbliżyłem się nieco, aby pochwycić słowa kapitana.

– Nie spodziewałem się takich przeszkód i takiej przewłoki – mówił kapitan – miałem nadzieję, a nawet pewność, że los będzie sprzyjał okrętowi. Tymczasem musimy się pogodzić z nieszczęściem, które na nas spada. Nieszczęście to jest zbyt widoczne, aby można było w nie wątpić. Wicher co chwila ustaje, powierzchnia morza wygląda się z niezwykłym pośpiechem, fala za falą znika i zamiera. W powietrzu za-

czyna dzwonić straszna, groźna, przeraźliwa i gniewna cisza morska. Jeszcze chwila a wszelki powiew zamrze, żagle znieruchomieją i zamiast się wzdymać, zwisną bezsilnie. Okręt zatrzyma się jak skamieniały w tej martwocie i w tym bezruchu. Będziemy zmuszeni stać w miejscu dopóty, dopóki wiatr lada jaki nie przyjdzie nam z pomocą. Wolę burzę niż tę Ciszę Morską. Z burzą można walczyć, z ciszą walka jest niemożliwa.

Zrozumiałem teraz, że pogoda i cisza, którą się tak upajałem, jest groźnym dla okrętu wypadkiem. I rzeczywiście, wiatr z każdą chwilą bezsilniał, a żagle wzdymały się coraz słabiej, niechętniej i niedołętniej. Dalszy ciąg rozmowy pomiędzy kapitanem a marynarzami nappełnił mnie przerażeniem. Stary ów bowiem marynarz, który list Diabła Morskiego kazał wrzucić do morza, rzekł głosem ponurym, wskazując mnie palcem i zwracając się wprost do kapitana:

– Ten nieznamy jest przyczyną naszego nieszczęścia. Nie podoba mi się bardzo jego korespondencja z Diabłem Morskim. Gdybym był kapitanem, kazałbym go wrzucić do morza wraz z listem Diabła Morskiego. Obecność tego człowieka na okręcie może być przyczyną tysiąca nieszczęść i przypadków.

Dreszcz przeszył mnie od stóp do głowy. Czułem, że blednę i z przerażeniem spojrzałem w głębinę morską, która z porady starego marynarza mogła za chwilę stać się moim grobem. Z biciem serca jałem nasłuchiwać odpowiedzi kapitana, od której życie moje zawisło.

Kapitan zmarszczył brwi, zamyślił się głęboko i milczał. Milczał tak długo, że milczenie jego stawało się dla mnie tak samo groźne, jak Cisza Morska dla okrętu. Im dłużej milczał, tym większy niepokój mnie ogarniał. Zataiłem dech, natężyłem słuch – i czekałem. Zdawało mi się, że na czas jego milczenia przestałem istnieć.

Wreszcie kapitan rzekł po długim namyśle i po jeszcze dłuższym milczeniu:

– Nie masz słuszności, mój stary i wierny marynarzu. Młodzieniec ten nie jest ani złym człowiekiem, ani przebiegłym czarnoksiężnikiem na usługach Diabła Morskiego. Otrzymał ów list przypadkowo, a ponieważ list był do niego adresowany, więc odebrał go i zachował przy

sobie, nie domyślając się nawet niebezpiecznych wpływów tego listu. Wyraz twarzy tego młodzieńca, jego zachowanie się, dźwięk głosu, a przede wszystkim szczerść i prostota aż nadto świadczą o jego szlachetności. Nie tylko nie wrzucę go do morza, lecz zabraniam całej załodze urażać go lub czynić mu cokolwiek złego.

Odpowiedź kapitana przywróciła mi spokój. Odetchnąłem swobodniej. Byłem uradowany. Przeklinałem w duchu Diabła Morskiego, który przysyłką⁷ tego listu naraził mnie na samym wstępie podróży na nieprzychylność marynarzy i na możliwość utonięcia w głębinie morskiej z ich porady i z ich zlecenia. Gdyby nie rozum i dobroć kapitana, wrzucono by mnie niechybnie do morza. Miał słuszość stary marynarz, że za przyczyną listu diabelskiego czyhają na mnie niebezpieczeństwa i przygody.

Uspokojony odpowiedzią kapitana, usunąłem się znów na koniec okrętu i spojrzałem na morze. Cisza Morska wzrastała, olbrzymiała, napełniając powietrze coraz większą martwością. Okręt płynął jeszcze, ale coraz zwalniał bieg.

Nagle usłyszałem gromadny i radosny krzyk marynarzy:

– Wyspa! Wyspa!

Spojrzałem przed siebie i rzeczywiście zobaczyłem w pobliżu zieleniejącą na powierzchni morza małą wysepkę.

Okręt, ostatnim wysiłkiem żagli pchnięty, zbliżył się do wysepki i zatrzymał się nagle bez ruchu. Nie było nadziei na to, aby popłynął dalej. Cisza Morska znieruchomiła⁸ go zupełnie.

Musieliśmy więc stać w miejscu i czekać, aż wiatr jakikolwiek nadejdzie.

Część załogi, znudzona beczynnym wyczekiwaniem wiatru na pokładzie, postanowiła przedostać się na wyspę, aby tam spędzić czas wyczekiwania.

Kilkunastu marynarzy wysiadło natychmiast i zaroilo się na wyspie. Wysiadłem i ja za ich przykładem, aby zwiedzić wyspę. Po raz pierwszy bowiem w życiu widziałem wyspę na morzu.

⁷ przysyłka – dziś w tym kontekście: przystanie a. przesyłka.

⁸ znieruchomić – dziś: unieruchomić kogoś a. coś.

Gdy dotknąłem stopą gruntu wyspy, zdziwiony byłem jego miękkością i sprężystością. Miałem wrażenie, że grunt ten jest żywy i że życie w nim nieustannie pulsuje. Przyłożyłem ucho do ziemi i posłyszałem równomierne odgłosy czy też pukania, podobne do bicia serca.

Ponieważ marynarze trzymali się z dala ode mnie, więc samotny błądziłem po wyspie. Zaszedłem na sam jej koniec i stanąłem na brzegu. Wyspa była pokryta dziwnymi wodorostami i krzewami. Niektóre krzewy były tak gęste i wysokie, że z łatwością mogłem się w nich ukryć. Marynarze zaopatrzyli się w chrust, w pale, a nawet belki, których pod dostatkiem było na okręcie. Rozłożyli ognisko, ażeby upiec kartofle. Wkrótce ognisko wybuchło wesołym, błękitnawo-złotym płomieniem, w którym się kędzierzawiły ruchliwe kłęby burego dymu. Ponieważ nie miałem drzewa i nie mogłem ogniska rozłożyć, wyjąłem z kieszeni nóż podróżny i z lekka zanurzyłem go w ziemi, ażeby zbadać dziwny grunt wyspy.

Ledwo dotknąłem gruntu ostrzem swego noża, a natychmiast trysnęła mi w twarz krew zimna, lecz purpurowa.

Zdziwiło mnie to zjawisko! Przyszedłem do wniosku, iż zapewne niektóre wyspy posiadają grunt krwisty.

Tymczasem dym z ogniska buchał coraz gwałtowniej. Chrust i drzewo rozżarzyły się tak, że upał i żar od główni nappełnił Ciszą Morską przejęte i stężałe powietrze.

Spojrzałem w stronę ogniska i zauważyłem, że grunt wyspy, jego żarem i płomieniem dotknięty, zaczyna skwierczeć i syczeć boleśnie, jakby go żywcem smażyono lub pieczono.

I rzeczywiście, zapach smażonej czy też pieczonej ryby nappełnił naraz powietrze.

Po chwili zauważyłem, że pod wpływem żarów ogniska, cała wyspa zaczyna kurczyć się, poruszać i chwiać się w swoich posadach.

Przyłożyłem znów ucho do ziemi i dosłyszałem szybsze i gwałtowniejsze uderzenia zagadkowego serca, podobne tym razem do niespokojnych uderzeń młota o kielnię.

Grunt zakołysał się pode mną i usłyszałem nagle głos kapitana, stojącego na przodzie okrętu:

– Co tchu opuścić wyspę! To nie wyspa, lecz grzbiet wieloryba! Cielsko jego pogrąża się w morzu! Utoniecie wszyscy!

Na ten okrzyk kapitana, marynarze w okamgnieniu przedostali się z domniemanej wyspy na okręt. Nagły i niespodziany wicher powiał od północy. Żagle się wzdęły i okręt zaczął szybko odpływać.

Ponieważ byłem na samym końcu olbrzymiego cielska, pokrytego wodorostami, więc nie zdążyłem wraz z tłumem marynarzy dobiec do okrętu. Kilka razy krzyknąłem, wołając o pomoc, ale nikt mnie nie słyszał. Może wicher zagłuszył dźwięki mego głosu, a może marynarze chcieli się mnie pozbyć i udawali, że wołań moich nie słyszą.

Kapitana zaś nie było już na pokładzie. Zszedł zapewne do kajuty⁹. Okręt odpływał tak szybko, że po chwili widniał moim oczom jako łódź drobna, mnóstwem żagli białych nadmiernie oskrzydłona. Zostałem sam na rozedrganym i kołyszącym się cielsku wieloryba.

Znikąd ratunku, znikąd pomocy!

Ognisko wciąż się jeszcze żarzyło i powiewało coraz to innym jęzorem błękitnawo-złotego płomienia.

Byłem na tyle przytomny, że podbiegłem do ogniska, aby zdeptać i zagasić jego żary, które parzyły boleśnie drgające cielsko wieloryba, zmuszając go do zanurzenia się w bezdeni¹⁰ morskiej wraz ze mną, jedynym mieszkańcem tej potwornej wyspy!

Było już wszakże za późno! Wieloryb zaczął się pogrążyć w morzu. Pogrążał się powoli. Pierwsza fala wpadła na jego grzbiet i zagasiła ognisko.

Zbolałe i sparzone cielsko wieloryba odetchnęło z rozkoszą pod moimi stopami, czując ochłodę w miejscu, gdzie przed chwilą żarzyło się okrutne i niezdolne ognisko.

Wieloryb wciąż się pogrążał. Woda dochodziła mi do kostek, a potem kolejno sięgnęła pasa i ramion... Już tylko głowa sterczała mi nad powierzchnią morza. Zrozumiałem, że za chwilę czeka mnie śmierć w głębinie morskiej. Straciłem przytomność, ale wnet ją odzyskałem.

⁹ kajuta – inaczej kabina, prywatne pomieszczenie mieszkalne na statku.

¹⁰ bezden (daw.) – przepaść, otchłań bez dna.